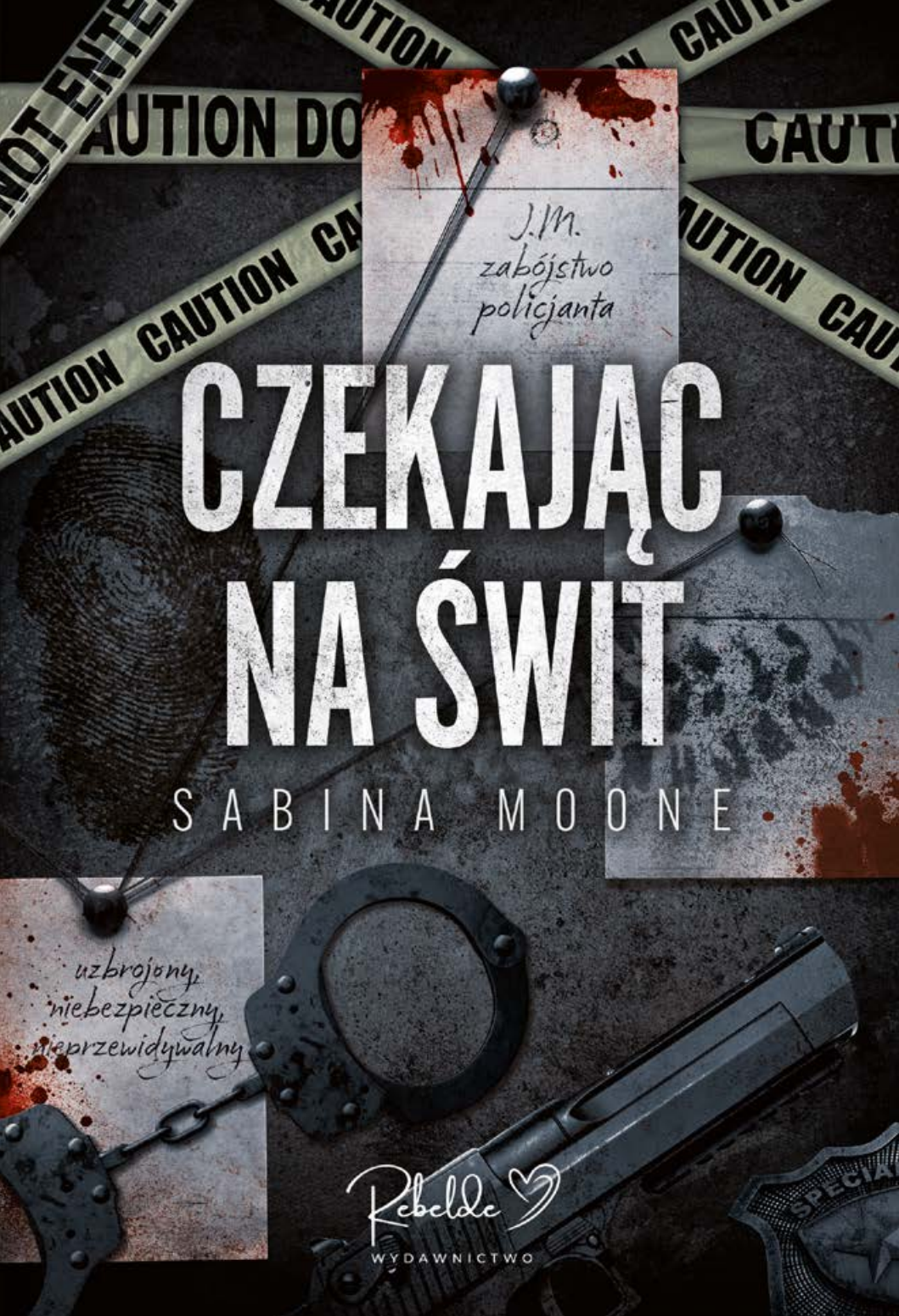




J.M.
zabójstwo
policjanta

CZEKAJĄC NA ŚWIT

SABINA MOONE

uzbrojony,
niebezpieczny,
nieprzewidywalny

Rebelle 
WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Sabina Moone
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Justyna Szymkiewicz

Korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz, Inga Juszczał

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska

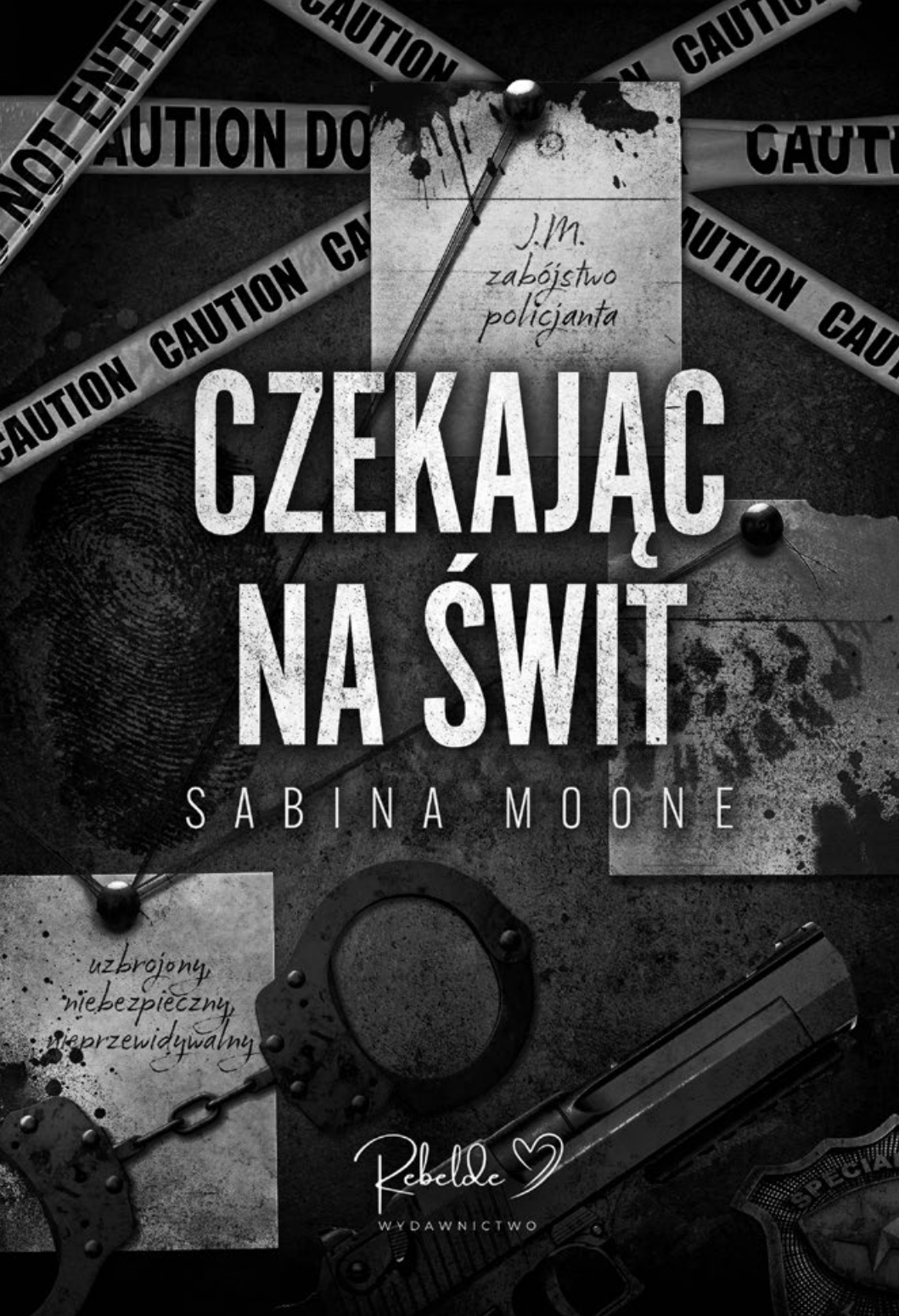
Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Skład i opracowanie ebooka:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-53-1

Rebelde 
WYDAWNICTWO



J.M.
zabójstwo
policjanta

CZEKAJĄC NA ŚWIAT

SABINA MOONE

uzbrojony,
niebezpieczny,
nieprzewidywalny

Rebelle ♡

WYDAWNICTWO

SPECIAL
INVESTIGATION
FILE

*Dla każdego,
kto kiedykolwiek
starał się odnaleźć siłę
w bólu*

TOP SECRET



Ostrzeżenie dla czytelników

Książka, którą trzymasz w rękach, jest przeznaczona wyłącznie dla osób pełnoletnich.

Zawiera treści mogące być trudne lub nieodpowiednie dla młodszych czytelników, w tym: sceny przemocy, morderstwa, porwania, śmierci, wątki silnego poczucia winy, znęcania się nad bohaterami, wpływu substancji psychoaktywnych i alkoholu, sceny erotyczne.

Opisane w książce wydarzenia mogą wywoływać silne emocje. Jeśli nie czujesz się gotowy(-wa) na tego rodzaju treści, rozważ odłożenie lektury.

Warto też pamiętać, że miasto, kraj oraz wszystkie lokalizacje pojawiające się w tej książce są całkowicie fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych miejsc, osób lub wydarzeń jest przypadkowe.

Jeśli zmagasz się z uzależnieniem, wypaleniem lub kryzysem psychicznym – wiedz, że pomoc jest możliwa. Nie jesteś w tym sam(-a).

- ▶ 800 70 2222 – Centrum Wsparcia dla Osób w Stanie Kryzysu Psychicznego
- ▶ 116 123 – Telefon zaufania dla osób dorosłych w kryzysie emocjonalnym

Ta książka to fikcja, ale Twoje życie jest prawdziwe. I warto troski.



Prolog

To ja miałem zginąć, nie on.

Tamtej nocy to mnie powinni byli zabić.

Powinni byli to zrobić, bym nie musiał żyć z tą przeklętą świadomością, że najlepszy człowiek, jakiego kiedykolwiek poznałem, zginął przeze mnie.

Anderson.

Człowiek, który nie miał żadnych wrogów, wyłącznie przyjaciół. Ojciec trójki dzieci, które nie zasypiały, póki nie powiedział im „dobranoc”. Mąż kobiety patrzącej na niego z miłością, jakiej nie widuje się już często. Wierzył, że świat można jeszcze naprawić – choćby fragment po fragmencie, cegła po cegle. Wspaniała osoba, świetny policjant.

Ostatnie, co zobaczyłem przed strzałem, to jego oczy. Pełne nadziei, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, zaopiekuję się jego rodziną. Ułamek sekundy, a wyglądało to, jakby czas zwolnił, by dać nam tę ostatnią, niemą rozmowę.

I wtedy... padł strzał.

A cisza, która nastąpiła po nim, była gorsza niż sam dźwięk wystrzału.

Świat nagle przestał się kręcić.

Krew była wszędzie – na jego ubraniu, na moich dłoniach, na zimnej, chropowatej ziemi. Zginął natychmiast. Nie miałem nawet chwili, żeby wyrwać go śmierci.

Reanimacja była desperacją. Krzyki – bezradnością.

Łzy mieszały się z potem, a głos rwał na strzępy, gdy błagałem go, by został. By nie odchodził.

– Musisz jeszcze postraszyć tych wszystkich chłopaków, którzy będą się kręcić wokół twojej córki – szeptałem. – Musisz siedzieć na tej kanapie z ręką na spluwie i patrzeć, jak się pocą ze strachu. Nie możesz teraz odejść. Nie teraz...

Ta noc zapowiadała się zupełnie inaczej.

Akcja miała się odbyć szybko, gładko i bez komplikacji, a po niej planowaliśmy wypad na panierowanego kurczaka. Śmialiśmy się wcześniej z naszych zamiarów, jakby to był najnormalniejszy wieczór, jakbyśmy byli nietykalni. Potem każdy miał wrócić do swojego życia – do rodziny, do domu, a rano obudzić się z nową energią, by stawiać czoła kolejnemu dniu.

Ale wszystko się spierdoliło. Tak szybko, że nawet nie zdążyłem tego zrozumieć.

Wszystko... po prostu runęło w jednej chwili.

Kiedy reszta rzuciła się za strzelcem, ja klęczałem przy Andersonie. Rozpaczliwie pragnąłem go ocalić, choć wiedziałem, że już go nie ma. Ratownicy próbowali mnie odciągnąć, ale ich od siebie odpychałem. Ręce trzęsły mi się z wysiłku i niedowierzania, a gdy w końcu mnie oderwali, nogi się pode mną ugęły. Upadłem na kolana, obcy, słaby, pusty.

Jego krew zastygała na mojej skórze jak wyrok.

Oparłem się o ziemię, zacisnąłem powieki, próbując nie widzieć tych migających niebiesko-czerwonych światel, które odbijały się od wszystkiego jak echo tragedii. Syreny. Krzyki. Głosy przez radio. Wszystko dochodziło do mnie jak zza szyby.

Wiedziałem, co muszę zrobić. Zanim media dorwą się do informacji, zanim ktoś puści przeciek, zanim reporterzy wcisną mikrofony pod nieodpowiednie twarze.

To ja musiałem powiedzieć Aaliyah.

To ja miałem spojrzeć jej w oczy i poinformować, że mężczyzna, którego kochała, nie wróci już do domu. Że dzieci nie usłyszą więcej jego głosu. Że życie, które znali, zakończyło się w jednej beztrosnej chwili.

Byłem nie tylko jego partnerem w pracy. Byłem ojcem chrzestnym ich córki. Przyjacielem domu. Byliśmy praktycznie rodziną.

I to ja musiałem złamać jej serce.

Myśl o tym była gorsza niż jakikolwiek znany mi ból fizyczny.

Ale nie miałem wyboru.

Nie mogłem dopuścić, by ktoś inny wyznał jej prawdę – nie z taką obojętnością, z jaką mówi się o kolejnym nazwisku na liście ofiar. Ona zasługiwała na więcej.

Anderson na to zasługiwał.

Wiedziałem, że ta noc zmieni wszystko i że nic nie będzie już takie samo.



Rozdział 1

Rhodes

ROK PÓŹNIEJ... CZERWIEC

Hazelwood. Miejsce mojego wygnania.

Kiedy po raz pierwszy szukałem informacji o tym miasteczku, od razu się dowiedziałem, że to zapomniana przez Boga dziura zabita dechami, której nikt nie odwiedza z własnej woli. Przez to miejsce raczej się przejeżdża i nie zwraca na nie szczególnej uwagi.

Wiem, że chcieli mnie wysłać jak najdalej od miasta, abym tylko usunął się w cień i zniknął. By ludzie o mnie zapomnieli. By wszyscy zapomnieli o tym, co się wydarzyło.

By nikt mnie nie zabił...

Zesłali mnie do miejsca, w którym największym wykroczeniem jest to, że starszuskowie przechodzą poza pasami. Spokojna, cicha miejscina, gdzie policyjny radiowóz częściej zatrzymuje się na kawę niż na interwencję.

Idealna dla kogoś, kogo chcą się pozbyć.

Kogoś, kto ma problem nie tylko z otoczeniem, ale i z samym sobą.
Kogoś, kto już nikogo nie interesuje.

Wysłali mnie tu, żebym po prostu zniknął. Zaszył się w małym mieście i przestał sprawiać problemy. Żeby nikt nie musiał się przejmować, że zrobię coś głupiego. Bo gdybym jednak zrobił coś nieodpowiedniego, wszystkie media szybko by to podchwyciły.

A to byłby wstyd dla policji.

Wiem, że część winy leży po mojej stronie.

Może nawet większość, choć wciąż nie jestem gotów wypowiedzieć tego na głos. Pewnie dlatego, że przyznanie się oznaczałoby, że mogłem zapobiec, a nie zrobiłem nic.

Już dawno powinienem był się pozbierać. Otrześć z kurzu, bólu, żalu i iść dalej, krok po kroku. Ale nie potrafię.

Nie mam w sobie tej siły, której wszyscy ode mnie oczekiwali. Tego wewnętrznego mechanizmu sprawiającego, że człowiek się podnosi po upadku.

Bo za każdym razem, gdy próbuję wstać, ląduję jeszcze głębiej.

Jakby każdy ruch tylko pogarszał sprawę.

Aaliyah nie owijała w bawełnę. Nigdy tego nie robiła. Patrzyła mi prosto w oczy i powtarzała, że to wszystko moja wina. Że mam się trzymać z daleka – od niej, od dzieci, od ich życia – jakby mnie nigdy nie było. Jakbym umarł razem z nim.

Te słowa rozorały mi wnętrze. Nie musiała dodawać nic więcej – już i tak wierzyłem, że to przeze mnie. Że gdybym zrobił cokolwiek inaczej, powiedział jedno słowo więcej albo jedno mniej, może... może on wciąż by żył.

Ta scena wraca do mnie jak klątwa. Wciąż widzę tamten dzień, co do sekundy. I siebie – bezradnego, spóźnionego, wściekle bezużytecznego.

Ale nie cofnę czasu. Nie naprawię tego, co bezpowrotnie się rozpadło. Anderson odszedł. A ja zostałem – z wyrzutami sumienia,

które zjadają mnie od środka. Często mam wrażenie, że nigdy nie zdołam się ich w pełni pozbyć. Że będą ze mną zawsze. Do końca moich dni. Może z czasem nieco wyblakną, ale nie znikną.

Anderson czasem przychodził do mnie w snach. Stał przede mną tak wyraźny, jakby wcale nie odszedł. Pewny siebie, silny, spokojny. Mówił: „Opiekuj się nimi. Bądź twardy. Nie poddawaj się. To nie twoja wina”. I przez chwilę w to wierzyłem. Chciałem wierzyć.

Ale jego głos ucichł.

Odkąd zacząłem brać, odkąd coraz częściej sięgam po cokolwiek, co pozwala zapomnieć, przestałem go widzieć. Nie ma już snów, nie ma jego słów. Jest tylko ciemność.

Uważałem, że to moja wina, więc nigdy nie szukałem pomocy. Ani razu. Nie chciałem, żeby ktoś próbował mnie ratować. Bo jak można ratować kogoś, kto nie zasługuje na ocalenie? Kogoś, kto sam w sobie widzi jedynie ruinę. Po co ktoś miałby marnować na mnie swój czas i energię? W tym czasie można przecież ocalić kogoś lepszego. Kogoś, kto naprawdę tego chce. Kto się jeszcze nie poddał.

Ja na to nie zasługiwałem.

Zamiast tego wybrałem prostszą drogę – zaprzyjaźniłem się z dilerami, którzy mieli wszystko, czego potrzebowałem, a jednocześnie nie zadawali zbędnych pytań. Liczyło się tylko, czy mam przy sobie gotówkę. I to mi odpowiadało. Uczciwy, prosty układ: ja płacę, oni dostarczają. Bez udawanej troski i spojrzeń pełnych litości.

Bo nie potrzebowałem kogoś, kto by się nade mną pochylał. Pragnąłem tylko, by przestało boleć. Choćby na kilka godzin.

Pięć minut temu wjechałem do Hazelwood. Jedyne, co zdążyło mnie tu przywitać, to miejscowy pijaczek zataczający się z rowerem, który najwyraźniej prowadził jego, a nie odwrotnie.

Mam ochotę zawrócić. Po prostu zawrócić ten cholerny samochód i pojechać tam, skąd przyjechałem. Ale wiem, że już mnie tam nie chcą.

Dostałem ultimatum: albo wyruszam do tej zapyziałej dziury, albo pakuję kartony i żegnam się ze swoją odznaką.

I wciąż nie mogę uwierzyć, że wołałem wybrać tę dziurę.

Jednak myśl o tym, że miałbym na zawsze oddać blachę, była koszmarem. Nie wyobrażałem sobie tego. Nawet nie wiem, co innego mógłbym robić.

Nie mam pojęcia, jak długo tu wytrzymam.

W głębi duszy wciąż naiwnie liczę, że może któregoś dnia ktoś się zlituje i pozwoli mi wrócić. Nie nadaję się do życia na takim zadupiu, na którym nawet kury nie gdaczą. Nie wiem, co ci miejscowi policjanci mogą tutaj patrolować, bo na ulicach ruchu jest jak na lekarstwo.

Zdaję sobie jednak sprawę, że na takich wsiach nikt nie zawraca sobie głowy testami na narkotyki. I pewnie łatwiej jest je ominąć, jeśli już się trafią. Zawsze wyniki mogą się magicznie zgubić... Wszystko sprowadza się do jednego: nie rzucać się w oczy. Nie kombinować. Nie dawać powodu, by ktoś się tobą zainteresował.

Zmiana miejsca mogłaby dać mi chwilę wytchnienia, pozwolić na zapomnienie, ale w głębi serca nie jestem pewny, czy cokolwiek może mi naprawdę pomóc. To jakbyś próbował zamazać obraz, który wciąż pojawia się w twojej głowie, nawet kiedy zamkniesz oczy.

Nawigacja wskazuje, że budynek, którego szukam, jest po mojej prawej stronie, więc skręcam w otwartą bramę i kieruję się na zarosnięty trawą podjazd. Cały ogród wymaga ręki ogrodnika, którego w tej wsi pewnie i tak nie ma. Mój wzrok zatrzymuje się na starym, białym budynku. Farba odpada gdzieniegdzie z powierzchni ścian, dach pokryty jest w kilku miejscach mchem, a czerwony komin dumnie wznosi się nad domem. Przede mną rozciąga się szeroka weranda z drewnianymi deskami, na której stoi bujany fotel lekko kołyszany przez poddmuchy wiatru. Albo może to miejsce jest po prostu nawiedzone.

Mój nowy dom.

Nie miałem zbyt dużego wyboru, bo gdy szukałem miesiąc wcześniej czegoś na wynajem – ten był jedyny. Na sprzedaż nie było żadnego.

Parkuję samochód i wysiadam, kiedy drewniane drzwi się otwierają, a w progu staje podpierająca się na lasce staruszka. Zatrzymuje się na chwilę, spojrzenie ma spokojne, ale pełne czegoś, co trudno uchwycić. Macha ręką, pokazując, żebym podszedł bliżej. Ruszam w jej stronę.

– Dzień dobry – witam się z nią i wyciągam w jej stronę dłoń. – Rhodes Reinhart.

– Dzień dobry, panie Reinhart. Barbara. Po prostu. Tak będzie łatwiej zapamiętać – odpowiada powoli, wyraźnie, jakby mówiła do obcokrajowca, który ledwo ją rozumie. Ręki nie podaje. Po prostu odwraca się na pięcie i wchodzi do środka bez żadnego gestu zaproszenia, jakby było oczywiste, że mam za nią iść. – No, niech pan nie stoi – rzuca w końcu. – Drzwi się same nie zamkną. Planuje pan zostać na dłużej?

– Tak. Mam być tutaj nowym policjantem.

Barbara natychmiast się zatrzymuje. Obraca głowę z zaskakującą szybkością, a jej wzrok wraca do mnie. Przeszywa mnie jak rentgen.

– Policjant? Doprawdy? – Marszczy brwi.

– Tak. – Staram się uśmiechnąć, choć czuję, jak jej spojrzenie przenika mnie na wylot. Trochę mnie przeraża. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Potrafię sobie wyobrazić, ile osób już poczuło na sobie ciężar tej laski. – Jestem więc zdecydowany, by wynająć pani dom – dodaję spokojnie.

Bo innego nie ma, myślę, ale nie mam odwagi, by powiedzieć to na głos.

– Wszystkie materace są wymienione. Nikt z nich jeszcze nie korzystał – kontynuuje i unosi laskę, by pchnąć drzwi, za którymi

dostrzegam pierwszą sypialnię. – Woda pod prysznicem czasem nie leci. Trzeba odczekać. Minutę, dwie. W końcu ruszy, jak się zmiłuje. Może pan coś z tym zrobi, ja się nie znam na tych wszystkich rurach. Telewizor jak zacznie świerować, to trzeba mu przyłożyć z boku. Nie za mocno, ale zdecydowanie. Z wyczuciem. Wtedy zaskakuje. No i ogród. Wielki jak nieszczęście. Może pan go ogarnąć, jeśli ma pan więcej siły niż ja.

Dom jest parterowy, więc nie mamy wiele do zwiedzania. Sypialnia, pokój gościnny, jedna łazienka, kuchnia połączona z salonem. Nic nadzwyczajnego. Podłoga skrzypi pod nogami, gdy powoli przemierzamy cały budynek.

– Strych? – Unoszę palec.

– Pusty – odpowiada kobieta i przysiada na krześle w kuchni. – Piwnica też. Żadnych trupów ani szczurów. Nie straszy, więc pan się nie boi. W razie czego proszę dzwonić na policję. Koledzy na pewno pomogą. A raczej koleżanka, bo ten drugi to chyba mniej odważny.

– Zna ich pani?

– Panie kochany, tu się wszyscy znają. I wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, nawet jeśli udają, że nie. – Sięga do szuflady, wyciąga teczkę i kładzie ją na stole. – No. Podpisuje pan?

Biorę umowę do ręki i sprawdzam, czy zgadza się z tą, którą wcześniej dostałem mailem. Barbara wpatruje się we mnie spod zmrużonych powiek, jakby oceniała, czy wiem, co robię, czy tylko udaję dorosłego.

Wszystko się zgadza, więc bez wahania wpisuję swoje dane, składam podpis i sięgam do portfela po gotówkę. Podaję jej banknoty, a ona bierze je ostrożnie, chucha na nie, jakby odprawiała jakiś dziwny rytuał, po czym wciska je do kieszeni swojego rozciągniętego szarego swetra.

Obserwuję to przez chwilę, ale nic nie mówię. Ludzie mają swoje dziwactwa, a ja nauczyłem się już, że niektórych rzeczy lepiej nie komentować.

- Numer konta ma pan w umowie. Do widzenia.
- Do widzenia. – Wzdycham ciężko i odprowadzam ją wzrokiem.

Sam nie wiem, od czego zacząć i za co się zabrać. Nie zrobiłem po drodze żadnych zakupów. Nie mam nawet pojęcia, czy mają tutaj jakiś bar...

Postanawiam najpierw wyjąć rzeczy z samochodu i wszystko wrzucić do pokoju gościnnego, by nie musieć się na razie rozpakowywać. I tak nikt mnie nie odwiedzi, więc mogę spokojnie zawalić to pomieszczenie swoimi gratami.

Rodzice mieszkają w innym kraju, z pewnością daliby mi wcześniej znać o swojej wizycie, w którą szczerze wątpię. Nie byli u mnie przez ostatnie dziesięć lat. Kontakt telefoniczny w zupełności im wystarcza.

Nie oczekuję, że teraz wsiądą w samolot i się zjawią.

Kiedy wiele lat temu powiedziałem im, że idę do akademii policyjnej, patrzyli na to jak na chwilową fanaberię. Jak na coś, co zaraz mi się znudzi. A później słyszałem tylko w kółko – „to niebezpieczne”, „pomyśl o alternatywie”, „czy to na pewno dla ciebie?”.

Oboje mieli swoje prawnicze kariery. W zasadzie to one były dla nich najważniejsze. Kiedy byłem mały, rzadko widywałem ich w domu. Wracali późno, zmęczeni... Większość moich wspomnień wcale nie zawiera twarzy rodziców, lecz opiekunek. Czasem mam wrażenie, że to właśnie z nimi byłem bardziej związany. To one uczyły mnie wszystkiego, czego powinienem był dowiadywać się od rodziców. Jazda na rowerze, odrabianie lekcji, nawet wiązanie butów.

Dlatego nie czuję więzi z rodzicami – nigdy ich nie było obok.

Wrzucam wszystkie kartony do pokoju i po opróżnieniu samochodu postanawiam pojechać do centrum z nadzieją, że mają tu jakiś lokal z ciepłym jedzeniem.

Kieruję się powoli w stronę bramy i z niedowierzaniem patrzę na zarośnięty ogród, wiedząc w głębi duszy, że pewnie i tak się nim zajmę. Mimo wszystko lubię mieć w domu... ładnie. Może nie zawsze

tak czysto, że można robić test białej rękawiczki, ale w miarę porządku. Wtedy mam większe chęci, by w ogóle wracać do domu.

A tutaj... Same krzaki by mnie zniechęcały.

Centrum Hazelwood.

Choć „centrum” to trochę na wyrost.

Ot, mały rynecek wyłożony wypłowiałą szarą kostką, jakby ktoś próbował tu kiedyś zrobić coś ładnego, ale skończyły się pieniądze albo chęci. Na środku fontanna – nieczynna, z resztkami liści i pustą puszką po piwie w środku. Wokół niej ustawiono kilka ławek, pewnie po to, żeby staruszkowie mieli gdzie plotkować o sąsiadach.

Na jednym rogu rynku stoi kościół – skromny, biały. Dalej: sklep spożywczy, mały zakład fryzjerski z szyldem jak z lat osiemdziesiątych, przychodnia i szkoła. Prawdziwe szaleństwo. Rozglądam się w poszukiwaniu posterunku policji albo chociaż straży, ale nie dostrzegam żadnego takiego budynku. Znajduję jednak naprzeciwko coś innego.

Knajpę.

Od razu się tam kieruję, czując burczenie w brzuchu. Mam tylko nadzieję, że ich kuchnia nie skończy się dla mnie wizytą w tutejszej przychodni. Albo w prosektorium.

Z zewnątrz lokal nie zachęca.

Wygląda, jakby już dawno padł ofiarą jakiegoś zapomnianego huraganu. Odpadające jasne tynki i ściany pokryte bohomazami – nie tyle graffiti, co efektem nudy i braku talentu u lokalnych nastolatków. „Jimmy tu był”, „Sarah to suka” i inne literackie perelki krzyczące z murów.

Ale kiedy otwieram drzwi, trafiam do innego świata.

Uderza we mnie ciepło, jakby ktoś próbował zrekompensować wszystko to, co dzieje się na zewnątrz. W środku jest zaskakująco przytulnie. Podłoga wyłożona została czarno-białymi kafelkami w stylu szachownicy, neonowe napisy zdobią ściany, czerwone sofy

ustawiono po dwóch stronach pomieszczenia, nad każdym stolikiem zwisają lampy... Pachnie smażonym boczkiem, cebulą i czymś, co może być kawą, a równie dobrze spaloną gumą – trudno stwierdzić.

Kobieta za ladą mierzy mnie wzrokiem. Nie wrogo. Nie przyjaźnie. Po prostu z dystansem kogoś, kto widział już wszystko – i niekoniecznie był pod wrażeniem. W jej spojrzeniu jest coś wyczekującego, jakby w myślach odliczała czas do momentu, aż przestanę się gapić na wystrój i przejdę do rzeczy. Niecierpliwość odbija się na jej twarzy tak wyraźnie, jakby chciała powiedzieć: „Zamawiaj albo spadaj”.

Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, jej usta wyginają się w coś na kształt uśmiechu – mechanicznego, zmęczonego, wyćwiczonego do perfekcji. Robi go pewnie setki razy dziennie, bez większego zaangażowania. Po prostu element obsługi klienta. Jak widelec do zestawu.

Stawiam krok w jej kierunku, wiedząc, że czas najwyższy w końcu coś zamówić.

– Dzień dobry. – Opieram się przedramionami o ladę i dyskretnie rozglądam po sofach.

Nie ma w barze zbyt wielu ludzi. Cała przestrzeń wydaje się spokojna, wręcz pusta. Na samym końcu pomieszczenia dostrzegam kobietę o ciemnych włosach. Siedzi do mnie tyłem, więc nie mogę zobaczyć jej twarzy. Jest tu tylko ona i jakaś rodzinka zajmująca miejsce przy stoliku w rogu. Dzieciaki hałasują, śmiejąc się i biegając wokół, ale poza nimi – cisza.

– Co będzie dla pana?

– Na pewno kawa. Czarna, bez cukru. I coś, co bym mógł przegryźć.

– Dzisiaj mamy w ofercie żeberka z miodem, zapiekankę makaronową z chorizo i naleśniki – odpowiada kobieta, uśmiechając się lekko.

– Wezmę żeberka.

– Zdecydowanie dobry wybór. Podajemy je z pieczonymi ziemniakami i gotowaną kukurydzą. Płatność na końcu – informuje, kiedy odruchowo wyciągam portfel. – Proszę sobie usiąść, zaraz przyniosę kawę. I do każdej mamy dolewkę gratis.

– Dzięki.

Siadam bliżej drzwi, tuż za tajemniczą brunetką. Kobieta znajduje się przede mną i przez chwilę obserwuję każdy jej ruch. Spokojna, prawie nieruchoma, jakby celowo nie chciała przyciągać uwagi. Może właśnie dlatego zająłem miejsce za nią – by zobaczyć twarz, gdy wstanie i pójdzie ku wyjściu. Ciekawi mnie, kim jest. Żeby nie gapić się na nią jak jakiś zboczeniec, wyciągam telefon i sprawdzam, gdzie jest posterunek policji. Mapa pokazuje, że znajduje się on kilkaset metrów od miejsca, w którym aktualnie jestem. Jeśli się stoi przodem do knajpy, trzeba skierować się w lewo.

Zamierzam się tam przejść, ale nie wchodzić do środka. To planuję zrobić dopiero następnego dnia. Dzisiaj jest dzień na rozpoznanie terenu.

Przez to, że dopiero dotarłem do miasta i nawet nie zacząłem pracy, nie mogę zapalić jointa, choć bardzo bym chciał. Wszystko jest jeszcze zbyt obce, a ja nie mam pojęcia, na co mogę sobie pozwolić. Sam nie wiem, jak przeżyję noc. Chyba nałykam się jakichś tabletek na sen, żeby tylko zasnąć.

Od tamtego dnia noce są dla mnie istnym koszmarem. Wiele z nich spędziłem w pustej wannie... W ubraniu, zatykając uszy, jakby to miało mi pomóc nie słyszeć własnych myśli, które napierały na mnie z każdej strony. Po prostu czekałem na świt, wierząc, że wschód słońca będzie moim wybawcą, a światło przyniesie ulgę. W ciągu dnia jest łatwiej. Pochłania mnie wiele zajęć, myśli nie są aż tak głośne, da się je łatwo zagłuszyć. Ale w nocy... W nocy jestem sam ze sobą i swoimi myślami. A te są bezlitosne. Natrętne. Ciężkie. Pełne poczucia winy. Bez końca wypominają to, czego nie zrobiłem, co zrobiłem,

co powiedziałem za późno, kogo zawiodłem. Głosy znające każdą moją słabość oraz tę ranę, którą próbuję ukryć za dnia.

W nocy nie ma ucieczki. Nie ma hałasu, by je zagłuszył. Nie ma miejsca, gdzie mogę się schować.

Jestem tylko ja... i moje demony.

– Kawa dla pana.

Podnoszę wzrok i widzę szatynkę, która delikatnie stawia przede mną kubek.

– Mogę o coś zapytać? – pytam cicho, a ona prostuje się i kiwa głową.

– Oczywiście.

– Macie tu jakiś sklep ogrodniczy?

– Typowo ogrodniczego nie mamy, ale naprzeciwnie jest miejsce, gdzie wszystko pan znajdzie. A jak czegoś nie ma, to pan im powie, a oni to zamówią. Dwa dni i będzie do odbioru. Można też pojechać gdzieś dalej. Jakies pół godziny drogi i znajdzie pan supermarkety.

– Dzięki – odpowiadam, unosząc lekko kącik ust w uśmiechu, i sięgam po napój. To dokładnie to, czego potrzebowałem – ciepła kawa w dłoniach i chwila ciszy.

Żeberka smakują naprawdę dobrze, są soczyste, z karmelizowanym miodem i chrupiącą skórką. Po pierwszym kęsie jestem prawie pewien, że będę tu zaglądał w trakcie przerw obiadowych.

Kończę jeść, a dziewczyna przede mną wciąż się nie rusza więc, postanawiam pójść do toalety, która znajduje się niedaleko niej. Myję szybko ręce i wycieram je w spodnie. Wychodzę z pomieszczenia i od razu na nią patrzę. Ona też unosi wzrok. Jej ciemne oczy wpatrują się we mnie, jakby próbowała coś ze mnie wyczytać, choć twarz pozostaje bez wyrazu. Ale mimo tej maski obojętności nie da się zaprzeczyć, że jest piękna – ma delikatne rysy i coś w spojrzeniu, co przykuwa uwagę. Przed nią zauważam: telefon, do którego ma podłączone słuchawki, i kubek z kawą. Nic nadzwyczajnego. Mijam

ją, nie zatrzymując się nawet na sekundę, i podchodzę do lady, żeby zapłacić.

Po wyjściu od razu kieruję się w stronę sklepu. Popycham drzwi, a w powietrzu rozbrzmiewa dźwięk dzwoneczka, który zwiastuje moją obecność. Młody chłopak wychodzi z zaplecza i przez chwilę przygląda mi się uważnie, jakby się zastanawiał, kim jestem. W jego spojrzeniu dostrzegam pewną ciekawość, może też lekkie zaskoczenie. Domyślam się, że zna wszystkich w tym małym miasteczku i pewnie rzadko ma do czynienia z klientami spoza okolicy. Czuć, że to miejsce jest jakby odizolowane.

– Dzień dobry – mówię cicho i chwytam koszyk, który leży obok.

Postanawiam zacząć od zakupów spożywczych, żeby było łatwiej. Tak naprawdę to nie wiem, czego mogę potrzebować, by ogarnąć ogród. Nie sprawdziłem nawet, czy gdzieś przy domu jest chociaż kosiarka. Albo jakiegokolwiek narzędzia. Trochę dłużej zatrzymuję się więc przy regale z rzeczami ogrodniczymi i wpatruję w każdą po kolei.

– W czymś pomóc? Doradzić? – Obok mnie pojawia się nagle pracownik.

– Sam nie wiem, czego potrzebuję. Na pewno wezmę jakieś rękawice ogrodowe i sekator. A macie siekierę?

– Tak. Tam. – Wskazuje regał, który jest nieco dalej, i patrzy na mnie trochę jak na szaleńca.

– Jestem z policji, pan się nie boi. Wprowadziłem się dopiero, a mój ogród wygląda jak siedem nieszczęść.

– Och! Pan Reinhart, prawda?

– Widzę, że plotki szybko się rozchodzą – mruczę pod nosem, a na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. – Rozumiem, że wie pan, gdzie się wprowadziłem. Chcę odnowić werandę, może pan mi doradzi, czego potrzebuję.

– Oczywiście! – Zaczyna sięgać po różne rzeczy i stawiać je na ladzie. Szepcze coś pod nosem, ale nie jestem w stanie go zrozumieć.

– Śrubokręt też wezmę – mówię, kiedy jego ręka się przy nim zatrzymuje. – Na pewno do czegoś się przyda. I młotek.

– Jasne. W ogóle... to gdyby pan potrzebował jakiejś pomocy lub porady, cokolwiek, tu jest nasza wizytówka. Możemy też zamówić produkty, jeśli czegoś panu będzie brakować. – Sięga po kartonik kontaktowy z lady i mi go podaje. – Ja nazywam się Theodore Martin. Można o mnie pytać, ale inni też na pewno pomogą.

– Dzięki. Pewnie się przyda.



Rozdział 2

Rhodes

Dopiero po powrocie do mojego nowego domu przypominam sobie, że zamierzałem pojechać i zobaczyć miejscowy budynek policji, ale nie mam już ochoty się wracać i postanawiam to zostawić na kolejny dzień.

Słońce jest wciąż wysoko, leniwie przesuwa się po niebie, zalewając podwórko ciepłym światłem. Mam jeszcze kilka godzin do zmroku. W sam raz, by zająć się tym, co i tak mnie nie ominie – ogrodem.

Nie wiem, czy bardziej chcę go ogarnąć, czy po prostu muszę czymś zająć ręce. Cokolwiek – byle nie myśleć. Wyciągam wszystkie zakupy z samochodu, zakładam coś wygodniejszego i sięgam po rękawice.

Kiedy wcześniej wjeżdżałem przez bramę, zauważyłem, że tuż przy niej chwasty są nieco mniejsze – wyglądają na takie, które da się wyrwać bez problemu. To dobry punkt startowy.

Mimo że założyłem biały podkoszulek, szybko czuję, jak pot zaczyna spływać mi po plecach, drażniąc skórę i przyklejając materiał

do ciała. Po uporaniu się z zaledwie skrawkiem ogrodu mam ochotę rzucić rękawice, kopnąć wiadro i usiąść w cieniu, najlepiej z zimnym napojem w dłoni. Ale poddanie się po godzinie roboty? Nie wchodzi w grę. Nigdy nie byłem tym, który rezygnuje przy pierwszym oporze.

Nie rozglądam się zbyt uważnie. Celowo tego nie robię. Wiem, że gdybym spojrzał na to wszystko z dystansu, przytłoczyłaby mnie świadomość, ile tu roboty. Trawa sięga miejscami do kolan, stare rabaty toną w zielsku, a gałęzie krzaków rozpychają się bezładnie, jakby nikt od miesiący nie trzymał ich w ryzach. Praca na kilka dni? Bardziej kilkanaście. Postanawiam dzisiaj skupić się tylko na bramie i podjeździe. Reszta może poczekać.

Z każdym wyrwanym chwastem kawałek po kawałku odślania się zwirowy pas prowadzący do drzwi domu. Kamienie szurają pod stopami, gdy przesuwam się dalej.

Koło osiemnastej jestem już wykończony, dlatego zamykam bramę i idę prosto pod prysznic.

– Działaj! – warczę pod nosem, odkręcając wodę, ale nic. Zero. Ani strużki.

Dopiero po chwili przypominam sobie słowa Barbary. Czekam więc, choć cierpliwość nie jest moją mocną stroną. W końcu, bez żadnego ostrzeżenia, spada na mnie lodowaty strumień. Cicho przeklinam pod nosem, ale kiedy szok mija, przymykam oczy. Ulga jest natychmiastowa. Czuję, jak napięcie z barków i karku odpływa z każdą kroplą.

Zastanawiam się przez chwilę, jacy będą inni policjanci. A zwłaszcza ta policjantka, o której mówiła staruszka. Czy będzie w porządku, czy od razu zacznie mi robić pod górkę?

Wiem, że nie zasnę tak łatwo, dlatego koło dziesiątej odnajduję w Internecie adres najbliższego baru. Nie nastawiałem się na znalezienie jakiegoś w mieście, ale mapa wyraźnie pokazuje mi lokal oddalony o piętnaście minut drogi pieszo.

Ulicą idę sam, w świetle migających czasem latarni. Nikt mnie nie mija, miasto wydaje się spać, a jedynymi dźwiękami, które przerywają ciszę, są moje kroki i szelest liści. Dopiero po kilku minutach jestem w stanie usłyszeć z oddali jakieś pijackie krzyki i śpiew ludzi. Dzięki temu przynajmniej wiem, że zmierzam w dobrym kierunku. Nie mogę się jednak za bardzo wyluzować. Muszę trzymać się w ryzach. Żadnych większych ilości alkoholu, żadnych idiotycznych awantur. Może i dzisiaj jeszcze nikt nie wie, kim jestem, ale świt w końcu nadejdzie.

I wtedy wystarczy jedno spojrzenie. Jeden sąsiad, który mnie pozna. Jedna osoba, która połączy kropki. „To ten policjant, co wczoraj najebał się w barze”.

Tego by mi tylko brakowało.

Nie wiem czemu, ale nagle myślę o tej dziewczynie, którą widziałem podczas obiadu. Ubrana raczej zwyczajnie, bez żadnego makijażowego szalu, ale miała w sobie coś... co przyciągało uwagę. Wyglądała na trzydzistkę, może mogła mieć odrobinę więcej, ale raczej nie jest starsza ode mnie. Wątpię, by przekroczyła trzydzieści pięć. Choć i to nie robiłoby mi różnicy. Spotykałem się już z kobietami starszymi ode mnie. Najwięcej pięć lat różnicy. Zwykle kończyło się na kilku randkach – żadnych wielkich uniesień, żadnego fizycznego zbliżenia. Nie czułem, żeby to było to.

Albo może po prostu nigdy nie miałem odwagi, żeby się naprawdę zaangażować.

Anderson zawsze się ze mnie śmiał. Że jestem wybredny, że za sztywny. Że z takim podejściem do życia i ludzi to nigdy nie znajdę sobie żony, nie założę rodziny. Może miał rację. A może po prostu nie spotkałem jeszcze tej jedynej.

Takiej, dla której chciałbym się zmienić. Dla której byłbym gotów coś w sobie przełamać, zawalczyć, naprawić te parę rzeczy, co są we mnie spięprzone.

Brzmi naiwnie? No pewnie. Jak marzenie chłopaka, który jeszcze wierzy w wielkie przemiany i cudowne zakończenia. A ja już dawno przestałem być tym chłopakiem.

Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, czy w ogóle dożyję czterdziestki. W moim świecie to nie jest pewne. W każdej chwili coś może pierdolnąć. Ktoś może mnie znaleźć.

I co wtedy?

Czy chciałbym skazać kobietę, którą kocham, na takie życie? Na ciągły lęk? Na wieczne ukrywanie się? Na sen z jednym okiem otwartym?

Nie.

Może lepiej zostać samemu.

Tak jest bezpieczniej. Dla mnie. I dla niej. Nawet jeśli jeszcze jej nie znam.

Docieram do celu, ale nie rozglądam się po ludziach stojących przed wejściem. I tak nikogo nie znam.

Gdy tylko otwieram drzwi, uderza mnie zapach dymu papierosowego, tłustego jedzenia i taniego alkoholu. Krzywię się odruchowo, ale nie zawracam. Przeciwnie – wchodzę głębiej, niemal z impetem, jakby szybsze tempo miało mnie uchronić przed narastającą odrazą.

Pomieszczenie jest duszne, całe zadymione. Ludzie tłoczą się przy stołach i pod ścianami, a ja przeciskam między nimi w stronę baru. Myślałem, że będzie pusto. Spodziewałem się najwyżej kilku pijanych samotników i barmana znudzonego życiem. Tymczasem wygląda na to, jakby pół miasta przyszło tu, żeby się odstresować i upić. Domyślam się, że to ich jedyna rozrywka w tym miejscu.

– Małe piwo – zwracam się do barmana, kiedy spotykamy się wzrokiem.

Siadam na wysokim stołku, który skrzypi pod moim ciężarem. Wyciągam gotówkę i kładę ją na blacie dokładnie w tej samej chwili, w której on stawia przede mną kufel.

Nie ma tu zbyt wielu słów. I dobrze.

Nie przyszedłem tu dla rozmów.

Unoszę brwi w zaskoczeniu, gdy na drugim końcu baru dostrzegam znajomą sylwetkę. To ta sama kobieta, którą widziałem wcześniej na obiedzie. Ona też się we mnie wpatruje, więc musiała mnie rozpoznać. Nie odwraca wzroku. Przeciwnie. Patrzy śmiało, bez cienia niepewności. Przez krótką chwilę prowadzimy niemy pojedynek, spojrzenie kontra spojrzenie, jakby żadne z nas nie chciało być tym, które pierwsze spuści wzrok.

W końcu podnosi się z miejsca. Jej ruchy są spokojne, świadome, nieco zadziorne. Jakby dokładnie wiedziała, że zwraca uwagę. Ma na sobie dopasowane czarne spodnie i top, a na ramionach krótką skórzaną kurtkę. Wszystko w niej jest ciemne, jakby celowo chciała stopić się z półmrokiem tego zadymionego miejsca. I może dlatego wydaje się tak wyraźna.

Zatrzymuje się, kiedy jakiś mężczyzna staje jej na drodze. Jest wyższy od niej o głowę, barczysty, w wyciągniętej bluzie i z flaszką wódki w ręce. Nie słyszę, co do niej mówi, ale widzę jego bezczelny uśmiech i zbyt swobodne gesty. Ona jednak się nie cofa. Nie wygląda na wystraszoną. Krzyżuje ręce na piersiach, jakby mówiła: „Spróbuj jeszcze raz”.

Podnoszę się nieznacznie z krzesła. Odstawiam kufel na ladę, gotowy zareagować, jeśli sytuacja się zaogni. Ale zanim zdążę zrobić krok, ona przechyliła głowę i ruchem dłoni pokazuje facetowi, żeby się nachylił. On się śmieje, ale posłusznie robi, co każe. Kobieta staje na palcach i mówi mu coś cicho do ucha – krótko, bez emocji.

Reakcja jest natychmiastowa. Mężczyzna momentalnie sztywnieje, jakby usłyszał coś, czego się nie spodziewał. Cofa się o pół kroku, potem jeszcze o jeden, robiąc jej przejście. Nie mówi nic. Patrzy tylko, jak kobieta rusza dalej, mijając go bez słowa.

Nie ogląda się za siebie.

Nie wiem, kim jest, ale chcę się dowiedzieć.

Nie wiem, czy wyszła tylko na papierosa, czy może wraca do domu. Nie mam pojęcia, co nią kieruje, ale czuję, jak coś mnie popycha, by za nią pójść. Sięgam po kufel, dopijam piwo i podnoszę się z krzesła, jakby od niechcenia. W głowie szybko formuję wymówkę: papieros. Tak, po prostu wychodzę zapalić.

Drzwi baru zatrząskują się za mną ciężko, zostawiając w środku hałas, muzykę i zapach dymu. W okolicy nie ma zbyt wielu lamp, więc muszę wyteńczyć wzrok, żeby ją w ogóle dostrzec. Już myślę, że poszła gdzie indziej, że ją zgubiłem, ale nagle ją zauważam. Opiera się o mur kilkadziesiąt metrów dalej. Stoi samotna, skąpana w bladej poświacie słabej lampy ulicznej. W dłoni trzyma papierosa, z którego co chwilę leniwie unosi się dym wirujący wokół jej głowy.

Robię krok do przodu, a odgłos moich butów na bruku zdaje się głośniejszy, niż powinien. Kiedy wreszcie stoję tuż przed nią, podnosi powoli wzrok. Jej twarz jest spokojna, niemal obojętna, jakby nie zaskoczyło jej to spotkanie. Albo nauczyła się, że obcy zawsze za nią podążają.

– Masz ogień? – Postanawiam zapytać, chociaż zapalniczka leży w mojej kieszeni.

Sięga wolną ręką po swoją, a ja w międzyczasie wydaję papierosa z paczki. Zbliżam go do ust. Bez słowa odpala mi go, patrząc na mnie spod przymrużonych powiek. Ogień na moment rozjaśnia jej twarz, ale ta wciąż nie zdradza cienia emocji.

– Już drugi raz się spotykamy – mówię, a ona kiwa głową.

– Jeszcze raz, a pomyślę, że mnie śledzisz.

Trudno oderwać wzrok od jej pomalowanych na czerwono pełnych ust.

– Nie mogę obiecać, że już na siebie nie wpadniemy. W końcu to małe miasto. Widziałem, że potrafisz sobie poradzić z natrętnymi ludźmi. Mnie pewnie też bez problemu byś spławiła.

– Jeszcze nic na ciebie nie mam, żeby to wykorzystać – stwierdza jak gdyby nigdy nic. – To kwestia czasu. Chyba że jesteś tylko przejazdem i jutro jedziesz dalej.

– Kto to wie? – Wzruszam obojętnie ramionami. Staję bokiem do niej i zaciągam się fajką. – Nie no, raczej tu zostanę. Nie mam wyjścia. Jesteś stąd?

– Na całe szczęście nie. Wtedy pewnie byłabym bardziej szurnięta, niż faktycznie jestem.

– Może postawię ci piwo? Co ty na to? – proponuję, ale od razu kręci głową, prostując się.

Jest zdecydowanie niższa ode mnie. Unosi brodę, patrząc mi prosto w oczy z wyraźną pewnością siebie.

– Nie, dzięki. Przyszłam tylko coś załatwić.

– To może cię odprowadzę? W końcu jest już ciemno, różni ludzie się tu kręcą, ktoś może cię znów zaczepić.

W powietrzu między nami unosi się delikatny, kwiatowy zapach perfum – słodki, subtelny, zupełnie niepasujący do jej twardego wizerunku. Wygląda na kobietę, która nie boi się stawiać na swoim. Jednak ten zapach budzi we mnie ciekawość. Każda sekunda sprawia, że coraz bardziej chcę ją poznać. Co tu robi, kim jest... jak ma na imię?

– Sugerujesz, że nie potrafię sobie sama poradzić z nachalnymi typami?

– Niczego nie sugeruję.

– Mam nadzieję. Pójdę już. – Odsuwa się nagle i gasi papierosa, po czym wyrzuca go do kosza. – Miło było.



Pierwsza noc tutaj jest jak koszmar, z którego nie potrafię się wyrwać. Zamykam oczy – i od razu widzę Andersona. Jego twarz, blade usta,

bezwładne ciało. Próbuje go ratować, każe mu oddychać, krzyczę, żeby się obudził. Ale on nie reaguje.

Wciąż nie wiem, co sprawiło, że wszystko się spierdoliło.

Joshua Martinez – facet, którego planowaliśmy zgarnąć – miał być sam. Człowiek zamieszany po uszy w handel bronią i narkotykami, znany z brutalnych zleceń, które kończyły się śmiercią przypadkowych osób. Miał ludzi, miał pieniądze...

Był nieprzewidywalny. Nie do osaczenia. Nie do powstrzymania.

Mieliśmy informacje, że nie wie nic o akcji. A tymczasem, kiedy wpadliśmy, wokół niego nagle znalazło się kilkunastu uzbrojonych gości, jakby czekali na nas, znali każdy ruch. Ktoś im doniósł?

Na to wychodzi, ale kiedy mówiłem o tym moim przełożonym, stwierdzili, że pewnie dali komuś podsłuch albo sami się domyślili, że chcemy go zgarnąć. Od miesięcy planowaliśmy tę akcję. Mieliśmy rozpracowany każdy szczegół, do dyspozycji mnóstwo ludzi, którzy niby zabezpieczali teren. I co? I nic.

Już kilka razy próbowaliśmy złapać Martineza, ale kończyło się to fiaskiem. A ja zawsze szedłem pierwszy. Byłem tym, który otwierał drzwi do piekła, wkraczał na teren wroga jako lider. Anderson tuż za mną, gotowy na wszystko, co miało nadejść. Ale to ja przyciągałem ich uwagę, to ja byłem celem numer jeden.

Jeśli wiele o nas wiedzieli, zdawali sobie sprawę, jak zależy mi na złapaniu Martineza. Mogli też podejrzewać, że wiem wszystko o jego rodzinie, a także to, gdzie ich ukrył.

Pewnie byli świadomi, że pójde pierwszy. To mnie mogli chcieć zabić.

Budzę się rankiem i nie wiem, ile w ogóle spałem. Ani kiedy zamknąłem oczy. Ostatnie, co pamiętam, to błąkanie się po mieszkaniu i słowa, które szeptałem raz po raz jak zepsuta płyta: „To wszystko moja wina”.

Może gdybym nie miał takiej obsesji... Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Stoję przed lustrem, patrząc w swoje odbicie, ale czuję, jakbym widział obcego człowieka. Ciemne oczy – kiedyś pełne determinacji – są matowe, pozbawione życia. Nie ma w nich nic poza zmęczeniem, żalem i bezsilnością. Ani cienia dawnej iskry. Przejeżdżam palcami po grzywce, która znowu opadła mi na czoło. Rozsmarowuję trochę gumy do włosów na dłoniach i próbuję okiełznać fryzurę, choć to tylko pozory kontroli. Prawda jest taka, że wszystko się sypie. Włosy też już zarosły – jak cały ten syf, który się we mnie gromadzi. Przydałaby się wizyta u fryzjera, ale jakoś nie potrafię zmusić się do takich zwyczajnych rzeczy.

Pięć minut przed ósmą zatrzymuję samochód pod miejscową policją. Budynek nie wygląda okazale. Jest parterowy, ale dość szeroki, z dużymi oknami i świeżo odmalowaną elewacją. Wokół jest zielono, trawa idealnie przycięta, a parking z równo ułożoną kostką.

Podchodzę bliżej, czując nieprzyjemne mrowienie na karku. Ktoś mnie obserwuje. Jestem tego niemal pewien. Rozglądam się szybko, ale nikogo nie dostrzegam. Może to tylko przewrażliwienie, a może instynkt. Popycham drzwi i wchodzę do środka.

Od razu uderza mnie zapach, który unosi się we wnętrzu – mieszanka papieru, starego drewna i resztek porannej kawy. Młody facet stojący przy oknie natychmiast odwraca głowę w moją stronę.

– Cześć – mówi podekscytowanym tonem. – Jestem Lucas. Posterunkowy Lucas Welsh – przedstawia się, wyciągając w moją stronę dłoń. Uścisk ma mocny, może nawet trochę zbyt pewny jak na kogoś, kto wygląda, jakby dopiero co wyszedł z akademii.

– Sierżant Rhodes Reinhart – odpowiadam, przytakując lekko głową.

Patrzę na niego uważniej. Wydaje się młody. Czysta koszula, gładko ogolony policzek, zbyt bystre spojrzenie. Jeszcze nie widział wystarczająco dużo, by nauczyć się tej charakterystycznej ostrożności, którą widać w oczach po kilku latach pracy w tym zawodzie.

Zerkam na resztę pomieszczenia. Trzy biurka – jedno obłożone papierami, jakby ktoś się w nich topił, drugie idealnie uporządkowane, trzecie puste. W rogu cichy areszt. Drzwi do archiwum stoją lekko uchylone. Obok dostrzegam drugą parę – masywniejszą, z tabliczką „Komendant” przytwierdzoną do drewna, jakby ktoś chciał jasno zaznaczyć hierarchię.

- To gabinet szefa – informuje Lucas. – Czeka na ciebie. Idziemy?
- Poradzę sobie, dzięki.

Kiwam mu głową i wchodzę sam. Za drzwiami zastaję starszego, siwego faceta o łagodnym spojrzeniu i zmęczonych oczach. Typ człowieka, który prawdopodobnie widział już wszystko i teraz po prostu odlicza dni do emerytury. Uśmiecha się uprzejmie, ale bez większego entuzjazmu. Wydaje się w porządku. Chwilę rozmawiamy. Opowiada o mieście, o mieszkańcach, o tym, że niewiele się tu dzieje. Jakby czas płynął tu wolniej, a każdy dzień był przewidywalny. Dziwi mnie tylko, że nie każe mi założyć munduru. Spodziewałem się tego, a on przez całą rozmowę nawet o tym nie wspomina.

Właściwie sam nie wiem, co powinienem myśleć o tym miejscu. Posterunek wygląda spokojnie, niemal sennie. Nie mam pojęcia, czy po kilku dniach nie zacznę mi doskwierać to siedzenie na tyłku i udawanie, że mam coś do roboty.

Rozmowa dobiega końca, a komendant wstaje, poprawia lekko marynarkę i podchodzi do drzwi.

– Lucas, wprowadź go i pokaż mu wszystko. Ja muszę wyjść – rzuca, a potem odwraca się do mnie i wskazuje palcem. – O dziesiątej jedziecie na patrol. Ty i Parker. Lucas, zostajesz.

- Oczywiście – odpowiada mu bez wahania młody.

Milczymy, dopóki mężczyzna nie opuszcza budynku. Welsh się rozluźnia, dopiero gdy drzwi zamykają się za przełożonym. Wtedy na jego twarzy znów pojawia się szeroki uśmiech.

- Parker to facet? – pytam, a on kręci głową.

– Nie, ale on zawsze mówi do niej po nazwisku. Przyzwyczajasz się. Możesz mi pomóc wyciągnąć materace za budynek, na trawę, bo pewnie zaraz przyjedzie. A skoro jeszcze jej nie ma, to pewnie zjawi się w złym humorze. Założę się, że jej grat znowu nie odpala.

Przechodzimy przez budynek, a ja zaglądam do każdego otwartego pomieszczenia. Nie mam pojęcia, na cholerę im te materace, ale nawet nie pytam. Nie znam ich zwyczajów. Skupiam się więc na obserwacji.

Magazyn ze sprzętem jest otwarty. Kaski, pałki, trochę gratów porozrzucanych na półkach i podłodze. Nic, co mogłoby mnie zaskoczyć. W powietrzu unosi się zapach kurzu i starej skóry.

Nie jestem przyzwyczajony do takiego chaosu. W moim poprzednim miejscu pracy wszystko miało swoje miejsce. Wszystko musiało być idealnie uporządkowane, od najmniejszej śrubki po każdą torbę z wyposażeniem. Tu jest inaczej. Tu nie ma porządku, nie ma kontroli. Czuję, że nie jestem w swoim świecie.

– Tu mamy szafki, gdybyś chciał coś zostawić. Zaraz dam ci twój kluczyk. Skąd cię przenieśli?

– Z Oak Ridge – mówię, a on z uznaniem kiwa głową.

– Duże miasto. Pewnie mieliście pełne ręce roboty.

– Żebyś wiedział... Dlatego nie wiem, czy nie zaczął się tu nudzić. Pewnie rzadko trafiają wam się jakieś zgłoszenia.

– Z Parker nie ma nudy – informuje, chwytając materac. – Weź drugi i chodź za mną.

– Po co wam to?

– Jestem! – słyszę z daleka, na co mój towarzysz posyła mi nerwowe spojrzenie.

– Już po mnie... – szepcze, a ja marszczę czoło, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Lucas! Mam nadzieję, że jesteś gotowy, bo nie uwierzysz, co mi się rano przytrafiło!

Obracam się i przez chwilę nie mogę uwierzyć własnym oczom.
Stoi przede mną kobieta, którą spotkałem poprzedniego dnia.

– To właśnie nasza Parker.

I wtedy zdaję sobie sprawę, że może wcale nie będzie tu tak nudno,
jak mi się wydawało.



Rozdział 3

Rhodes

Od razu mnie rozpoznaje. Staje w miejscu, unosi brew i krzyżuje ręce na klatce piersiowej. Wiem, co zaraz powie.

– Trzeci raz – rzuca po chwili ciszy, a w jej głosie pobrzmiewa znużony sarkazm. – Czyli jednak mnie stalkujesz. Powinnam ci dać jakąś kartę lojalnościową i przybijać pieczętki za każdym razem, kiedy się na mnie natkniesz.

Przechylam głowę w bok, udając, że rozważam propozycję. Jej ton sprawia, że to, co powinno być irytujące, w rzeczywistości mnie bawi.

– Znacie się? – wtrąca Lucas, rozglądając się z zaciekawieniem.

Nie odpowiadamy.

– Dostanę coś za dziesięć pieczętek? – pytam.

– Może się uśmiechnę – odpiera bez mrugnienia okiem.

– To już coś. Wysoko zawieszona poprzeczka, ale chyba dam radę – mówię, odkładając materac na podłogę, i prostuję się, by spojrzeć jej prosto w oczy. – Sierżant Rhodes Reinhart. Słyszałem, że będziemy współpracować.

Nie odpowiada od razu. Przez ułamek sekundy wygląda na zaskoczoną, jakby dopiero teraz dotarło do niej, kim jestem. Jej spojrzenie przeskakuje na Lucasa, który stoi tuż za mną, po czym wraca do mnie – już bardziej ostrożne, mniej zaczepne.

Widzę to w jej oczach. Wie, że będziemy widywać się codziennie. Że będziemy razem pracować, jeździć na patrolu i dzielić przestrzeń. Tu, w budynku, może jeszcze uciec do innego pokoju. W aucie – już nie. Tam nie będzie miała żadnej możliwości uniknięcia kontaktu.

– Starsza posterunkowa Rhea Parker, panie sierżancie – mówi w końcu, podając mi dłoń. Uścisk ma pewny, silny, zupełnie niepasujący do tego lekko drwiącego tonu, którym rzuciła wcześniejsze komentarze. Zaskakuje mnie to, ale nic nie mówię.

Odwraca się z powrotem do Lucasa.

– Czemu jesteś w mundurze?

– Mam zakwasy, Parker... Zlituj się nad biednym, zmęczonym człowiekiem. Masz teraz nowy worek treningowy – dodaje, patrząc na mnie z szerokim uśmiechem. – I zobacz, o wiele bardziej umięśniony niż ja. Nawet nie poczuje.

Lucas przekrzywia nieco głowę.

– Umiesz się bić?

– Umiem – odpowiadam spokojnie. – Ale nie będę tego robił z nią.

– Nie musisz oddawać. Możesz robić uniki. Jeśli ci się uda, oczywiście – dopowiada Lucas z uśmiechem, a potem zerka na kobietę, która nie wygląda na zachwyconą jego pomysłem. – A ty w międzyczasie mi opowiesz, co się wydarzyło.

– Tym się zajmujecie, żeby się nie nudzić? – rzucam, podnosząc brew.

– A co mamy robić? Grać w kulki na telefonie? – Chłopak przewraca oczami. – Musi być w formie. Wcześniej miała lepszego chłopca do bicia, ale odszedł, więc teraz ty masz go zastąpić.

– Wystarczy – ucina Parker, nie odwracając głowy. – Jak się boi, to do niczego nie będziemy go zmuszać, prawda?

Jej ton jest spokojny, ale wyczuwam w nim wyzwanie. Od razu przypomina mi się nasza nocna rozmowa.

Robię krok w jej stronę.

– Sugerujesz, że się boję?

– Niczego nie sugeruję – mówi chłodno.

– Więc się zgadzam.

Zapada chwila ciszy. Rhea spogląda mi prosto w oczy, jakby oceniała, ile w tym pewności, a ile blefu. Nie spuszczam z niej wzroku ani na sekundę.

Chwytam materac i wymijam Lucasa, kierując się do ogrodu za budynkiem.

– Skąd się znacie?

Słyszę za plecami jego głos, ale się nie odwracam. Czego niby miałbym się bać? Jej ręka jest trzy razy chudsza od mojej. Przecież nie zrobi mi krzywdy. Zwłaszcza że trenowałem kiedyś sześć razy w tygodniu.

No dobra, przez ostatnie miesiące forma trochę mi siadła, ale przeszedłem w życiu więcej szkoleń niż niejeden instruktor. I więcej razy upadłem na matę, niż chcę pamiętać.

Rzucam materac na trawę, ale nie mogę oderwać wzroku od Parker, która właśnie zdejmuje swoje obcasy. Sięga do spodni, a ja czuję, jak przetykam mocniej ślinę, choć staram się to ukryć. Przez moment serce podskakuje mi w piersi. Myślałem, że pod spodem ujrzę bieliznę, ale na szczęście ma na sobie obcisłe czarne spodenki. Sam też zdejmuję buty, ciesząc się, że postanowiłem tego dnia założyć zwykły biały T-shirt i granatowe szorty. Kiedy widzę, jak ściąga przez głowę koszulkę i pozostaje jedynie w sportowym staniku, odwracam wzrok, czując ciepło na karku. Nie chcę, żeby myślała, że się gapię... choć tak właśnie było.

Spoglądam na Lucasa, który siedzi na krześle z okularami przeciwsłonecznymi na nosie i wygląda, jakby tylko czekał na jakieś przedstawienie. Serio, popcornu mu tylko brakuje.

Zanim się orientuję, jesteście już na materacu, a Parker walczy, jakby miała za sobą całe lata treningów. Unikam jej ciosów, starając się znaleźć moment na kontratak, ale gdy próbuję ją powalić, ona błyskawicznie się obraca, a ja tracę równowagę. Natychmiast to wykorzystuje, przewraca mnie na materac i siada na moich biodrach. Nie trzyma moich rąk, ale i tak czuję, że mam niewiele do powiedzenia.

Wiem, jak mogę ją zrzucić z siebie, ale zamiast tego zostaję w tej pozycji, obserwując jej szybki oddech i powoli unosząc się brew.

– Co teraz, sierżancie? Wiem, że stać cię na więcej. – Pochyla się, i kładzie dłonie po dwóch stronach mojej głowy.

Wystarczyłby jeden szybki obrót, żebym to ja znalazł się nad nią. Mostek i przewrót – techniki dobrze znane z brazylijskiego jiu-jitsu czy zapasów. Unoszę gwałtownie biodra, wytrącając ją lekko z równowagi. Gdy zbliża się do mnie, przyciągam ją i jednym płynnym ruchem obracam, dzięki czemu zamieniamy się miejscami. Tym razem to ja mam kontrolę – trzymam jej nadgarstki uniesione nad głową, pewny swojej przewagi.

– Myślisz, że możesz mnie zaskoczyć, Parker? – szepczę, zbliżając się do niej. – Jeszcze o tym nie wiesz, ale uwielbiam przejmować kontrolę.

– Jeśli myślisz, że uda ci się mnie zdominować, to jesteś w błędzie, sierżancie.

– Powinienem sobie pójść? – Lucas odzywa się, przypominając nam o swojej obecności.

– Nie – odpowiada kobieta, kiedy puszczam jej nadgarstki i podnoszę się z miejsca, wyciągając jednak rękę, by pomóc jej wstać.

Nie dziwi mnie, że ją ignoruje i sama z gracją się podnosi, po czym poprawia lekko kręcone, ciemne włosy.

– Idę się przebrać – rzuca, sięgając po swoje ubrania. – Ciebie też widzę zaraz w mundurze. Domyślam się, że to ja mam zabrać cię na patrol.

– Tak – odpowiada za mnie Lucas. – A teraz mi opowiedz, co ci się znowu zepsuło w samochodzie, Parker, to może go naprawię, jak pojedziecie. Albo zadzwonię do brata, żeby tu przyjechał i zerknął.

– Nie wiem, stary... Już dawno ci mówiłam, że muszę zmienić auto, bo to nadaje się jedynie na złom.

Wchodzą do środka, a ja postanawiam sprzątnąć materace, wciąż myśląc o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Jestem w szoku z powodu jej umiejętności. To też pewnie wyjaśnia, dlaczego w nocy była taka pewna siebie, kiedy tamten facet ją zaczepił.

Mam dziwne wrażenie, że ta kobieta jeszcze niejedną raz mnie zaskoczy.

Wchodzę po chwili do pomieszczenia z szafkami, prysznicami i umywalkami. Ściągam przez głowę koszulkę, a Lucas siedzi na ławce, gadając coś o samochodzie. Parker z kolei nie kryje, że jej wzrok błądzi po mojej klatce piersiowej. Nawet nie próbuje robić tego dyskretnie. Unoszę lekko kącik ust i odwracam się w stronę umywalki, żeby umyć ręce i opłukać twarz.

Stoję do kobiety plecami, ale doskonale widzę w lustrze jej odbicie. Wiem, że jej wzrok zatrzymał się na bliźnie, która zdobi moje plecy. O nic jednak nie pyta. Ja też milczę. Nie jestem wielkim fanem rozmów o szramach, które noszę na ciele. A kilka ich jest.

Nie wstydzę się ich, każda to kawałek mojej przeszłości. Dowód na to, że przeżyłem więcej niż niejedną, że potrafiłem się podnieść po upadku. Choć czasem bywało niekomfortowo. Zwłaszcza gdy sytuacja zaczynała się robić intymna, a kobieta nagle krzywiła się na widok którejś z blizn. Te chwile zabijały atmosferę, odbierały mi pewność siebie, sprawiały, że cały ten moment tracił sens.

Na jej twarzy nie pojawia się żaden grymas obrzydzenia. Bardziej widać na niej ciekawość.

– Granatowa koszula z krótkim rękawem – przerywa Lucasowi, ale mówi do mnie.

Kiwam głową i po chwili odbieram od chłopaka kluczyki od szafki i ubrania. Powoli je wkładam, a Rhea wciąż nie odwraca wzroku. Muszę przyznać, że pasuje jej mundur. To imię też, choć czuję, że najczęściej będę zwracał się do niej po nazwisku.

Kiedy zbliża się czas naszego patrolu, Parker wyciąga kluczyki i patrzy na mnie wzrokiem mówiącym: „Nawet nie myśl, że dam ci prowadzić”.

Nie kłóć się – zna miasto o wiele lepiej – ale mam nadzieję, że jutro to ja zasiądę za kierownicą radiowozu. Nienawidzę siedzieć na miejscu pasażera.

– Panie przodem – mówi, otwierając mi drzwi i przepuszczając w nich.

– Dzięki – odpowiadam, wychodząc z budynku. – Lubię jeździć w ciszy – informuję, kiedy wsiadamy do środka, a ona odpala auto.

Patrzy na mnie, unosi brew i włącza radio.

Wiem, że chce mnie sprowokować i zrobić mi na złość, dlatego odwracam głowę w stronę przedniej szyby, a ona dość sprawnie wyjeżdża z parkingu.

– Centrum jest w drugą stronę – informuję, kiedy wjeżdża na pustą ulicę.

– Nie żartuj, serio?

– Parker... – odpowiadam sucho.

– Zawsze zaczynam od obrzeży, sierżancie. Gdyby w centrum coś się działo, ktoś by do nas zadzwonił – mówi bez zbędnych ceregieli. – Na przedmieściach jest cicho, ale to nie znaczy, że nic się nie dzieje. Mamy tam kilku typów, co urządzają sobie wyścigi uliczne. Albo śmieci wywożą pod las, albo... najgorzej: przywiązują tam szczeniaki czy kociaki do drzew. Ludzie bez serca. Także miej oczy szeroko otwarte. – Jej głos staje się trochę ostrzejszy, poważniejszy. – Zdarzają się też telefony, że na przykład sąsiad bije swoją żonę. Przyjeżdżamy

na miejsce, a ona twierdzi, że to nie mąż, że sama się uderzyła. Tak tylko uprzedzam, żebyś się nie zdziwił. Nie chcą nawet jechać do szpitala, nigdy nie zeznają przeciwko mężom. A w naszej obecności żadna nie dostanie w twarz. Znam te historie na pamięć. Mamy je na oku, ale nie możemy całymi dniami czatować pod ich domami. Więc jak szef będzie pytał, to przekazałam ci wszystkie informacje. Przynajmniej te najważniejsze. Wystarczy na najbliższe tygodnie. A resztę opowiem, jak dojedziemy.

Przez pozostałą drogę milczy. Sam nie próbuję jej zagadywać. Zamiast tego wpatruję się w okno, żeby na pewno niczego nie przegapić.

Kiedy dojeżdżamy pod las, parkuje na polnej drodze i gasi silnik. Kiwa głową, że wysiadamy, co od razu robię. Wokół panuje martwa cisza przerywana jedynie stukaniem jakiegoś dzięcioła.

Jednym sprawnym ruchem wyłącza kamerę.

– Wejdz tu. – Wskazuje na las. – Ja pójde prosto i spotkamy się tam gdzieś.

Rozdzielamy się więc i odchodzimy kawałek od samochodu. Staram się rozglądać, ale jednocześnie mieć ją na oku, żeby się nie zgubić. Jestem zdziwiony, kiedy wchodzi do lasu, ale zaraz szybko zmierza w moim kierunku.

– Nie musimy się lubić, sierżancie, ale pewnie często wylądujemy razem na patrolu. Szef nienawidzi, kiedy wtrącam się w przepychanki tych małżeństw i później kłócę z tymi głąbami, którzy podnoszą rękę na żony. Zazwyczaj to on woli z nimi gadać, bo wtedy tylko mówi im, że to ma być ostatni raz i nigdy więcej ma się to nie powtórzyć. Za dwa dni robią to samo. Także jak kiedyś z jakimś kretynem porozmawiam, a szef później cię o to zapyta, to nic nie wiesz. Albo mówisz mu, że zachowałam spokój i to była zwykła rozmowa, rozumiesz?

– Robisz im z życia piekło, co? – Uśmiecham się szeroko.

Parska śmiechem i lekko kręci głowę.

– To ja jestem ich piekłem.

Przez chwilę patrzę na nią z ukosa, próbując odczytać coś więcej z twardej fasady, ale ona nie daje się rozgryźć. Twarz nie zdradza ani cienia emocji.

– Chyba nie jesteś lubiana w tym mieście, prawda? – pytam, kiedy zawracamy w stronę radiowozu.

Rzuca mi krótkie, obojętne spojrzenie, jakby to pytanie w ogóle jej nie ruszyło.

– Nie obchodzi mnie to – mówi spokojnie, ale w jej głosie czai się coś lodowatego, coś, co nie pozostawia złudzeń. – Nie zależy mi na tym, żeby ktoś mnie lubił, bo ja też większości nie darzę sympatią. Lubię tylko tych, którzy nie są pieprzonymi świętoszkami udającymi, że nic złego się nie dzieje. Lubię ludzi, którzy nie grają, a dzisiaj wszystko jest jedną wielką, zasraną grą. Każdy udaje. Każdy kłamie. I są tacy, którzy kłamią tak długo, że zaczynają w te brednie wierzyć.

Wydaje się, jakby w jej świecie wszystko było albo czarne, albo białe. To świat, gdzie albo jesteś silny, albo ktoś cię zniszczy. Albo jesteś drapieżnikiem, albo ofiarą. Nic pomiędzy.

A może ona też nauczyła się kłamać. Też gra w tę „zasraną” grę. Łże lepiej niż wszyscy, których tak otwarcie potępia.